

ARS POLITICA

dla Lesława N.

kiedyś mój kolega poeta pisał wiersze
w których słowem ciągnął
jak kozę na sznurku
księżyc znad drohobycza
mowę związaną słomą i łykiem
malwy brodzące w śniegu po szyję
dom pod samborem i ścięte
dachy lwowa

dzisiaj mój kolega poeta jest członkiem
partii postkomunistycznej
może o tym nie wie ale w portfelu
oprócz legitymacji nosi wciąż lepka
krew romka strzałkowskiego
z poznania a także wyrwane paznokcie
wybite zęby zapory pileckiego
i tylu innych

do pracy nie bierze śniadania
je w barze w jakimś starbuksie
albo lepszej restauracji
i dobrze bo musiałby odwijać z papieru
zrobione przez żonę kanapki przełożone
plasterkiem śmierci która jak kromka chleba
skosiła dziewięciu górników
z wujka

dzisiaj mój kolega poeta jest członkiem partii
postkomunistycznej wciąż pisze wiersze
ale pracuje jako dyrektor
w firmie kosmetyczno-fryzjerskiej
więc pewnie wie że posiwiałe włosy zapory
dałoby się pofarbować znowu na uwodzicielską
czerń a w miejsce wybitych zębów wstawić
nowe jak najmodniejsze tipsy

mój kolega nie widzi związku
pomiędzy tym że jest a że nosi
bo nosi tę przeszłość metaforycznie
tak jak kiedyś ciągnął kresy niczym kozę
na sznurku w wierszu
mój kolega nie widzi
malwy ścięte malwy płaczą
dziewczynka z zapalkami znowu

podpała dom

BIAŁE KOMINIARKI

Aniołowie założyli na twarze białe kominiarki, przed akcją przeżegnali się szybko, ściskając w dłoniach chłodne kolby szybkostrzelnych uzi.

Pod drzwi ładunek wybuchowy, potem już tylko eksplozja: krótki huk, światło i trochę dymu. Zupełnie tak samo jak było na Początku.

Błyskawicznie wpadli do mieszkań wywlekając z łóżek mężczyzn, kochających się właśnie z kobietami przeciw szóstemu przykazaniu.

Spod pryszniców i od kuchennych stołów, na których chleb, wino, kiełbasa, wódka. Po kilku sekundach leżeli już skuci na ziemi, zaskoczeni, bezradni.

A nad ich głowami aniołowie wciąż jeszcze wrzeszczeli: „Na ziemię! Bez ruchu! Sąd!” i odwracali się od przybyłych nie wiadomo skąd niebieskich kamer.

Pili wodę z butelek, trzymali ich pod lufami uzi, wciąż nie zdejmując z twarzy przeupoconych, już brudnych gdzieś białych kominiarek.

GARBATA

Garbata, waży tyle co piórko, najwyżej 40 kilo, już na emeryturze,
a wciąż codziennie od 6 rano zamiata ulicę, cały kwartał,
wraz z siostrą. Jakby zrośnięta z miotłą dozorczyńni,
konsjerżka, czy jak mówią na Ukrainie: *Комунальна служба*.

W pomarańczowej kamizelce, zimą odgarnia śnieg.
Garbata nie od miotły, od męża – bił tak, że aż
uszkodził kręgosłup. Nie mogę się nadziwić czystości
jej ulic, bo przecież jesienią spadają liście.

Jeżeli jest Bóg, to da jej zapewne wieczną nagrodę,
a w niebie niebieskie ulice zamiatać będą aniołowie
skrzydłami, nie ona.

Ale, tak myślę, dobry Panie Boże, może jej warto
jeszcze tutaj, na ziemi, dać coś, czego nigdy nie miała:
choćby 7 dni *all inclusive* w Turcji albo przynajmniej
sanatorium *все включено* w Truskawcu.

Smak pomarańczy, łyk wina i *creme brulee*.
Młodego kelnera, który wszystko przyniesie,
satynową pościel i mydło jednorazowe, pachnące.

O świcie znów słyszę szuranie miotły.

IN MEMORY

Józef Waguś (1929-2014), murarz, ze Lwowa, twarz pomarszczona i czerstwa jak pumeks albo suchy ciemny chleb w kolorze gliny. Ile nikotyny przeszło przez jego płuca, ile alkoholu zmielonego w pokornej pracy wątroby. Ile cegieł, zaprawy, ruchów kielni i potu na plecach, niczym w *Balladzie Miłosza: Pod obłokiem krzyżeli murarze, podciągali w górę nowe domy*. Dzieciństwo, drewniana zabawka wystrugana przez ojca, pierwsza komunია, pierwszy pocałunek, pierwsza kobieta. Pierwszy dom, dziesiąty dom, setny dom — taka jest praca murarza, nie wiem, czy posadził drzewo, ale spłodził syna i córkę.

Szwagier mej babki, wujek Józek,
z którym spotykaliśmy się w przelocie, na ulicy albo cmentarzu. I teraz przyszło zakończyć to wszystko, zatknąć wiechę na gmachu życia: syn umarł dwa lata temu, więc teraz jego – Józefa Wagusia, lat 85, zamieszkałego Beuthen O/S (w przekładzie na polski: Bytom, Górny Śląsk) - dopada śmierć. Skrada się tyłem jak w wierszu z dzieciństwa: *Idzie rak nieborak... Zachodzi ukradkiem*, ma mocne szczypce. Wujek Józek nie chce umierać w szpitalu. Umiera w domu córki, wdowy, leżąc w łóżku, przymykając oczy, czekając na to, co przyjść musi. *Idzie rak nieborak, idzie noc, idzie ból...*

Józef Waguś, murarz ze Lwowa, lat 85,
dwa tygodnie przed śmiercią, leżąc w łóżku, bezbronny jak dziecko uśmiecha się znowu – jak dziecko. Ma spokój na twarzy, kiedy córka na starym adapterze odtwarza mu lwowskie piosenki: Z takim uśmiechem u Prusa umierał Ignacy Rzecki, subiekt z Warszawy, lat pięćdziesiąt kilka.
Świat zmniejsza się do średnicy srebrnego pieniążka.

A my wciąż trzymamy w rękach
szeleszczące

banknoty.

* * *

Mój kolega Zygmunt Zawisza
Spotykam go na ulicach miasta
Z napuchniętą twarzą
Nieruchym wzrokiem
Piękny chłopak w młodości
Chciał zostać księdzem
Nie skończył seminarium
Niedopuszczony do święceń
Z powodów zdrowotnych
Wielki Panie Boże dlaczego
Nie chciałeś Zygmunta Zawiszy
Przy swoim ołtarzu
Dlaczego przeznaczyłeś mu
Inną drogę
Wędrówkę ulicami miasta
Codzienną komunię psychotropów
Nieruchomy przyćmiony wzrok
Dlaczego dobry Panie Boże
Włożyłeś mu na ramiona
Zamiast stuły
Ciężki niewidzialny krzyż

WIOSNA 2010

sok z brzozy ze
skrzydeł wosk

kropla krwi
którą szybko zmyje
potok podłości
gorczy i wojny